

O „merytorycznej” debacie

Autor: **Murray N. Rothbard**

Tłumaczenie: **Jan Lewiński**

Fragment książki Ekonomiczny punkt widzenia, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Instytutu Misesa — [nadal można zostać mecenasem dzieła](#).

W zależności od usposobienia rok wyborów prezydenckich można odbierać jako powód do załamania się lub śmiania do rozpuku. Jednym z bardziej dezorientujących aspektów kampanii jest redefiniowanie przez Szacowne Media naszego języka. Ponad pół wieku temu George Orwell pisał, że władzę tak naprawdę dzierży ten, kto kontroluje język — media dobrze odrobiły tę lekcję. Szacowne Media uzurpują sobie na przykład prawo do ustalania, czym w danej kampanii jest „debata merytoryczna”. Jeśli kandydat X złapie kandydata Y z ręką w konfiturach, media natychmiast ruszają Y na odsiecz, wołając: „To nie jest istotny temat! Dlaczego nie rozmawiacie o meritum”?

Podczas wyścigu Busha z Dukakisem media ogłosiły, że jedynym merytorycznym punktem dyskusji będzie gospodarka. Wszystko inne miało być jedynie zasłoną dymną, służącą „odwróceniu uwagi” od „meritum sprawy”. Można byłoby pomyśleć, że ekonomistów ucieszy tego rodzaju zainteresowanie. Ale pamiętajmy o ekspertach od semantyki z establishmentowych mediów — ich zdaniem o gospodarce rozmawiać można wyłącznie poruszając się wąsko wytyczonymi ścieżkami. Na salonach nie ma miejsca dla innych punktów widzenia.

Media skupiają się także — zdawałoby się całkiem sensownie — na recesji. Lecz i w tym wypadku pozwala się na użycie tylko wąskiej grupy argumentów. Z powodu recesji wzrosło bezrobocie („brak pracy”), ucierpiało tanie budownictwo mieszkaniowe (bezdomność), służba zdrowia nie daje sobie rady, bo wzrosły koszty opieki medycznej, a deficyt rośnie o 400 miliardów dolarów rocznie.

Krótko mówiąc, brakuje pracy, opieki zdrowotnej, mieszkań i innych fruktów, co ma — *implicite* bądź *explicite* — sprawiać, że rząd powinien znacząco zwiększyć wydatki. Dostarczanie lub gwarantowanie takich dóbr i usług to jakoby jego obowiązek. Każda osoba poddająca w wątpliwość konieczność zapewniania

tych dóbr przez rząd zostanie oskarżona przez Szacowne Media o próbę ucieczki od merytorycznej dyskusji.

Zgodnie z medialnym żargonem „dyskusja” w kwestiach merytorycznych sprowadza się do uznania założeń etatyzmu i — w narzuconych przez owe założenia ramach — toczenia zażartych sporów o technikalia. Jeśli przykładowo ktoś stwierdzi, że narodowy fundusz zdrowia to nic innego jak socjalizm w medycynie, może się spodziewać zarzutu o ignorowanie meritum. Każdy, kto uważa, że socjalizm bądź kolektywizm *jest* istotną sprawą, wnet zostanie wyłączony z dyskusji.

Jak jednak rząd ma wydać setki miliardów dolarów i zarazem poradzić sobie z deficytem? Ach, oczywiście! Wystarczy sięgnąć po odwieczne panaceum: podwyżki podatków. Do mitów można zaliczyć twierdzenie, że ludzie proponujący wprowadzenie podatków są poddawani ostracyzmowi, a zwolennicy cięć – fetowani. Choć opinia publiczna może otaczać resztkami rewerencji postulat obniżki podatków, to zazwyczaj elitom intelektualnym i mediom udaje się ją skutecznie omamić trąbieniem o tym, że zalecanie podwyżek podatków jest jednoznaczne z mierzeniem się z kwestiami merytorycznymi i jako takie dowodzi odwagi i odpowiedzialności.

Takie wąskotorowe dyskusje mają jeszcze jedną cechę — ściągają do nich jak muchy gryzipiórki z Waszyngtonu, mieniący się niezależnymi „ekspertami”. Sypią oni jak z rękawa rzekomo ilościowymi komputerowymi analizami skutków każdej podwyżki podatków i każdej innej propozycji. Powtarza się więc ten sam żaloszny spektakl: kandydat *A* proponuje podwyżkę podatków; jego oponent *B* zarzuca, że plan kandydata *A* będzie kosztował podatników pochodzących z klasy średniej *x* miliardów dolarów; *A* odparowuje, że *B* „kłamie”, co powtarza *B* w przypadku innego projektu podwyżki podatków autorstwa *A*.

Najbardziej irytuje jednak skłonność mediów do „korygowania” tych wyników — gadające głowy z gazet czy telewizji twierdzą, że „fakty są takie”, iż plan kandydata *B* tak naprawdę będzie kosztował podatników *y* miliardów dolarów. Owe „korekty” drażnią wprost niepomnie, wszyscy bowiem zdają sobie sprawę z tego, że każdy z kandydatów będzie się starał postawić swoje pomysły w jak najlepszym świetle, a propozycje przeciwników w jak najgorszym — jednak stronniczość *samych mediów* skrywa się pod maską obiektywnej prawdy.

Prawda jest jednak taka, że faktycznie nikt nie wie, kto i ile właściwie zapłaci w przypadku wejścia w życie któregośkolwiek z tych programów. Liczby,

które rzuca się jak prawdy objawione, jak „fakty” w kraju od zawsze wielbiącym twarde dane, biorą się z różnorodnych fałszywych założeń. Każde z nich zakłada przykładowo, że ilościowe relacje między różnymi czynnikami gospodarczymi pozostaną na takim samym poziomie, jaki utrzymywał się w ciągu ostatnich lat. Lecz przecież właśnie o to chodzi, że te relacje zmieniają się, i to w sposób nieprzewidywalny.

Niechże ktoś wytłumaczy, dlaczego żaden z ekonomistów dysponujących komputerowymi modelami czy owych nawijających makaron na uszy rządowych mandarynów nie przewidział obecnej recesji? Żaden z nich nie wiedział, jak długa i głęboka będzie. Stało się tak dlatego, że — jak wszelkie recesje — była ona ilościowo unikatowa. Gdyby nie doszło do nagłej zmiany danych, *nie byłoby* recesji, a zamiast tego trwałby nieprzerwany boom. Jak w biuletynie „Currency and Credit Markets” wskazał niemiecki bankowiec Kurt Richebacher, ekonomiści — w odróżnieniu od swoich poprzedników z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku — porzucili metody intelektualne. Wbijają po prostu do komputera przeterminowane dane statystyczne i dziwią się potem, że ich przewidywania nadają się tylko do kosza.

Proponuję inny zgoła temat do merytorycznej dyskusji, o którym media nawet się nie zająkną: tak, to prawda — deficyt jest poważnym problemem, ale nigdy sobie z nim nie poradzimy, podnosząc podatki (z pewnością nie podczas recesji!). Zamiast tego należy ciąć wydatki rządu. Wbrew potocznej opinii mediów wzrost opodatkowania *nie jest* równoważnikiem obniżki wydatków (chyba że chodzi o czystą arytmetykę). Zarówno podatki, *jak i* wydatki budżetowe powiększają jedynie marnotrawczy garb sektora publicznego i jego klienteli, rosnący na plecach ubożającego, lecz wydajnego sektora prywatnego. Cięcia podatków i wydatków budżetowych kruszą okowy pętające produktywną inicjatywę prywatną.

Na dalszą metę — co przykładowo pokazał komunizm — publiczny pasożyt pożera gospodarną prywatną przedsiębiorczość, szkodząc nawet samemu sobie. Jak na ironię to ci sami lewicowi liberałowie, którzy na co dzień afektują się stanem „środowiska” czy Matki Ziemi za 5 tysięcy lat, przyjmują krótkowzroczne podejście do gospodarki, zgodnie z którym należy się przejmować wyłącznie najbardziej bieżącymi problemami, a nie kłopotami ludzi oszczędnych, inwestujących i przedsiębiorczych.

Gdzie ciąć budżet rządu? Najprostsze sposoby są najlepsze: wystarczy uchwalić ustawę unieważniającą wszelkie poprzednie ustawy, która będzie

zakazywać wszystkim agencjom rządowym przekraczania budżetu z poprzednich lat — im odleglejszy termin ustalimy, tym lepiej. Na początek jednak może warto byłoby wybrać przedostatni rok rządów Cartera, czyli 1979, gdy rządowe wydatki wynosiły 504 miliardy dolarów? Po prostu niech żaden urząd nie przekroczy kwoty wydanej w 1979 roku, a te, które wówczas nie istniały, mogą próbować na siebie zarabiać — jeśli tak się podoba ich urzędnikom — nie otrzymując od rządu wsparcia.

Dla mandarynów establishmentu taki projekt byłby rzecz jasna zbyt prosty i zbyt rewolucyjny. Z definicji nie zmieści się on w wąskich ramach „merytorycznej debaty”.